Nr. 5 We Lwowie dnia 3. lutego 1896 Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

Akordy jesienne.

XIII.

Oto dusza ma, jak więzień, wyswobodzon zpoza krat,
Rzuca pęta swe cielesne i w jesienny spieszy mrok
Na obszary gdzieś dalekie, w lot przebi ga cały świat,
W lot ogarnia wsie i miasta, w jeden ciemny zbite tłok.

I tak błądząc, w swej podróży do poziomych zajrzy chat
To w pałacach górnych spocznie, to w zaułki zwróci [krok:
Noc uśpiła ich mieszkańców — jakby spali już od lat,
Jakby byli dziś podobni nie do żywych, lecz do zwłok.

Dziwny spokoj.. I uchodzi senna dusza poza próg..
Patrzy w przestwór... Jak daleko, jak wysoko sięga dom
Tego świata, nikt nie czuwa?... Błogosławić takim snom!

Patrzy... patrzy... Nie!... Ten przestwór nie uśpiony! [w szerz i w wyż
Wielkie widmo go wypełnia i w odblasku mglistych smug
To potrząsa krwawą chustą, to olbrzymi wznosi krzyż.

XIV.

Cud nad cudy! Wielkie widmo, duch uśpionych w dole ciał,
Z przedświtową mgłą się zlewa, a z jej wiewnych, srebrnych [chmur
Jakieś pasmo się wyłania, jakiś długi, ciemny wał,
Jak z oddali gdzieś widziany tajemniczy, straszny bór.

Las birnamski czyż się ruszył?... To postaci żywych sznur
Idzie — płynie — ach! bez końca... Cały świat, co dotąd [spał,
Snać się zbudził i w przestrzeni niezmierzonych mgławy [dwór
Idzie — płynie — ach! bez końca, jak wyrwany z więzów [szał.

Zamęt ślub wziął z dysharmonją: szczęk oręży, płacze, [gwar,
Fale pieśni melodyjnych, kaznodziejskich gromy słów,
Poszept modłów, mlask dyscyplin i lubieżnych syków żar...

Drży powietrza każdy atom — tak, jak spojrzeć — w szerz [i w wyż,
Gdy przed okiem mojej duszy ten przebarwny sunie huf,
Potrząsając chustą krwawą, lub olbrzymi wznosząc krzyż.

XV.

Patrzy dusza osłupiała: tu z trzepotem skrzydeł burz
Kuruingów mkną zastępy, czy Attyla, wichrem gnan;
Tam z liljami w chudych rękach lub na czołach z wieńcem [róż
Rozśpiewane tłumy dziewic zaścielają śniegiem łan.

Planetarne tutaj drogi kreślą mędrce, przyjście zórz
Dla piwnicznych ciemnic ziemi wieści prorok, a tam z ran
Stygmatycznych krew ocieka, tutaj kaci ostrzą nóż,
Lub stos niecą, a tam nagość w rozpasany idzie tan.

Zamęt ślub wziął z dysharmonją... Ach! uciekać w ciała [mir!
Ale dusza jak zaklęta: wszystek słuch swój, wszystek [wzrok
Szle w tych linij, barw i szumów, w tych akordów [dziwnych tłok...

Patrzy... słucha dusza moja, aż ten chaos, aż ten wir
W jeden zgodny hymn się zlewa, brzmiący w okrąg — [w szerz i w wyż:
Jednem stał się dźwięk z jękami, jednem z krwawą [chustą krzyż...

XVI.

I porwana pieśnią życia, leci dusza, niby ptak,
Niby żóraw, za swym kluczem śród powietrznych mknący dróg —
Płynie z tłumem z lutnią w ręku, zapatrzona w wielki znak,
W krwawą chustę i w krzyż olbrzymi, ponad ziemski wzniesion bróg.

Płynie z tłumem gdzieś bez końca, aż się zgubią tam, gdzie szlak
Nieb jesiennych w świt się stroi, w ten jutrzniany, srebrny smug;
Gdzie nad krawędź ciemnej ziemi strzela zorza, jak ten krzak —
Gorejący krzak pustynny, w którym Bóg przemawiał — Bóg!...

Jak się ranna mgła rozwiewa, tak i sen się rozwiał mój...
W okna moje dzień zagląda, chłodny, jasny, pełny dzień —
Na ulicach wre już życie pod działaniem jego tchnień.

Do codziennych zajęć wraca duch, co widział wieków znój
W niezmierzonej świata kuźni, ponad którą — w szerz i w wyż —
Krwawej chusty szmat powiewa lub się wznosi wielki krzyż...

Jan Kasprowicz.

Korespondencja Renana.

(Ernest & Henriette Renan. »Correspondance intime«. Paris. 1895.

(Dokończenie.

To najważniejsze ustępy tych ceremonjalnych zwierzeń. Ze wszystkich kartek wieje to ciche, łagodne uwielbienie dla siebie, które cechowało całe życie Renana. spotykamy tu już na każdej stronicy jego ulubione wyrazy: »słodki«, »spokojny« i »boski«. Gdy się pragnie jednem zdaniem określić wrażenie tej korespondencji, mimowoli nasuwają się własne słowa Renana: »To, co się mówi o sobie — jest zawsze poezją«...

A Henryka Renanówna? Jakąż jest ona w swych odpowiedziach? przedewszystkiem traci ogromnie z uroku przepięknej postaci z »Siostry Henryki«.

Musimy wierzyć na słowo bratu, że była znacznie inną. Powagą swą i dojrzałością przypomina naszą Żmichowskę tylko brak jej poetyczności Gabrjeli. Wszystkie listy pisała w Klemensowie, nad Bugiem, w domu Zamoyskich, u których zajmowała miejsce nauczycielki.

Renan przypisywał siostrze ogromny wpływ moralny na niego samego i dla tego najciekawszemi są te wiersze, — w których Henryka zagląda do wątpiącej duszy Ernesta i mimochodem wypowiada swe poglądy. Mówię mimochodem, bo Henryka obawia się wszelkiej odpowiedzialności. Czuje instynktem, że chodzi o rzecz ważną i że człowiek wątpiący, zwłaszcza z taką kon-

LETKIEWICZ.

SYLWETKA

PRZEZ

KLEMENSA JUNOSZĘ.

(Ciąg dalszy.)

Lepiej dać pokój. Majątek przeznaczony jest na cele publiczne, — takie życzenie wyraził na kilka dni przed śmiercią nieboszczyk mąż i wola jego będzie spełniona. Jest mały legat dla Andzi, żony Stasia, ale bardzo mały, bagatela

Pani Adamowa uważa, że należałoby go powiększyć, choćby dla tego, że Andzia jest taka miła i dobra, a jej dzieci prześliczne — ale taki ambaras z pisaniem! Okularów szukać, pióra szukać — zastanawiać się, jak myśl swoją wyrazić, może jeszcze zasięgać rady prawnika. Za dużo zachodu... Andzia jest miła i dobra, ale sama sobie winna że nie ma przyszłości, któż jej kazał wychodzić za Letkiewicza? Kochała go zapewne, ale to jeszcze nie racja. Miłość miłością, a rozsądek rozsądkiem. Trzeba uwzględniać jedno i drugie; lepiej nawet niech będzie rozsądek bez miłości, aniżeli miłość bez rozsądku.

Długo byłaby jeszcze zacna kobiecina zastanawiała się nad tym przedmiotem, lecz nadeszła kucharka i wszczęła jakąś kwestję kulinarną, która bieg myśli pani Adamowej zwróciła w inną stronę.

Kwestja była tak ważna, że zacna matrona podniosła się z fotelu i, niby ciężki okręt, kołysząc się na obie strony, popłynęła w stronę kuchni.

— — — — — — — — — — —

Letkiewicz miał mnóstwo znajomych, a wśród nich wielu takich, którzy mienili się jego przyjaciółmi; był bowiem dla każdego niezmiernie uprzejmy i uczynny, a w towarzystwie wesoły i pożądany, ale w stosunkach bliskiej zażyłości nie pozostawał z nikim, z wyjątkiem niejakiego pana Konstantego, kolegi z ławy szkolnej. Ze wszystkich znajomych ten jeden naprawdę go znał, ze wszystkich przyjaciół ten jeden był prawdziwym jego przyjacielem; to też ile razy pan Stanisław był w mieście, zawsze kolegę odwiedzał, zawsze wstępował do niego, jeżeli nie

templacyjną jak Ernest naturą, w chwili cierpienia duchowego chwyci się nawet złej rady, byleby zadać kres własnej niepewności. Powtarza mu przeto ze słodyczą: »Nie przestanę prosić cię z tkliwością niemal macierzyńską: — nie wiąż się niczem zbyt spiesznie; bądź zdolny poznać najpierw, a potem dopiero przyjąć zobowiązania, które zadecydują o twoim losie«; albo: »Stawiam ci tylko pytania — aby twój rozum i sumienie pomogły ci do rozwiązania ich«. Delikatność taka usprawiedliwioną była dwoma ważnymi względami: Henryka pomagała bratu pieniężnie; nie posiadała sama wiary.

Możność zbudowania sobie przez Ernesta życia niezależnego — wątpliwą się wydaje dla Henryki. »Życie samotności dla siebie, poświęcenia dla drugich, niezależności od wszystkich, byłoby zapewne wykonaniem marzeń wszelkiej duszy szlachetnej; niestety jednak — nie istnieje na naszej ziemi«. Ale, gdy brat wspomniał jej, że ma zamiar przyjąć miejsce profesora w instytucie katolickim, którego założenie projektowano w tym czasie, Henryka rozumie, że takie zobowiązanie może się stać decydującem dla całej jego przyszłości.

Zarzuca tedy zwykłą swą taktykę i pisze: »Pozwól, mój drogi przyjacielu, zakląć cię, abyś się nigdy nie wciągał do żadnego stowarzyszenia, które ci odejmie wszelką swobodę działania i zabierze cię w ten sposób i własnemu rozumowi i tym, którzy cię kochają. Nie zapominaj, że kto się związuje prawami grupy, pozbywa się wszelkiego sądu osobistego i znajduje się często w konieczności zrobienia dla korporacji tego, czegoby nie zrobił jako człowiek prywatny«.

Widząc, jak Ernest męczy się w wątpliwościach, podsuwa mu, — doradzony przez kogo innego, — projekt opuszczenia seminarjum na jakiś czas; przypuszcza nawet, że znajdzie mu miejsce nauczyciela w Niemczech, które tak pragnie poznać. »Postanowienie twoje wyjść powinno z woli jasnej i wolnej. Dla tego potrzeba, byś wyszedł, na jakiś czas przynajmniej, z atmosfery, w której przebywałeś do tej pory; trzeba, byś poznał nieco świat, w którym masz życie przepędzić. Istnieją rzeczy, których cię nie nauczą żadne książki świata«.

Przyjmując na siebie rolę »jednej z matek«, przemawia do brata najczulszemi słowy: »Grałam — pisze — w tem wszystkiem rolę Kasandry: przewidziałam, przepowiedziałam okrutną niepewność, która cię pognębia; nikt nie chciał mi wierzyć, sama zaś nie mogłam oprzeć się temu«. Obiecuje przygotować matkę, którą krok taki zaboli napewno. Gdy Ernet donosi nareszcie, że postanawia stanowczo seminarjum pożegnać, używa Henryka całej siły woli, aby radość swą stłumić. Posyła bratu 1.500 franków na załatwienie pierwszych potrzeb i radzi mu, aby wrócił do Paryża z wakacji, ubrany jak wszyscy«. W zapale schodzi nawet ze zwykłego, wzniosłego tonu; zajmuje się sprawą odzienia byłego kleryka i zwraca mu uwagę, że »surdut ciemny, reszta czarna — byłyby najodpowiedniejsze«.

Zahartowuje go przeciw kalumnjom i krzykom, które zapewne powstaną, gdy seminarjum opuści. »Cóż to wszystko znaczy? Puste słowa, o których nie będzie mowy po kilku tygodniach; są to chwilowe złości, któremi się pogardza, gdy się ma za sobą świadectwo własnego sumienia i przyzwolenie serca oddanego«.

---

do mieszkania, to przynajmniej do kantoru fabryki, w której pan Konstanty miał zajęcie jako technik.

Dwaj ci przyjaciele mieli usposobienia wprost sprzeczne; jeden był zawsze wesoły, drugi smutny, ponury prawie; jeden lubił się śmiać i dużo mówić, drugi odzywał się rzadko, a zmarszczka, jakby od natężenia myśli pochodząca, nie schodziła nigdy z jego czoła.

Pomimo takiej różnicy charakterów, a może właśnie dla tej różnicy kochali się serdecznie.

Właśnie pan Stanisław dążył do swego Kostka, aby choć pół godziny z nim przepędzić.

Szedł spiesznie i nie zauważył znaków, jakie mu z poza szyby sklepowej dawano, a sklep to był pierwszy na całe miasto, handel win i towarów kolonialnych zamożnego i solidnego kupca, punkt zborny inteligencji miejskiej.

Tu przy kilku stolikach gromadzili się znajomi grupami, po to, aby przy flaszy maślacza, lub zieleniaku dyskutować o różnych kwestjach chwili.

Dobrzy znajomi dostrzegli przechodzącego przez ulicę pana Stanisława i chcieli go zaprosić do kompanji. Gruby adwokat zerwał się z krzesła i wybiegł do samych drzwi sklepowych, ale spieszący się nie dostrzegł go.

— Uciekł bestja! rzekł zasapany jurysta, powracając do stolika.

— Nic straconego, on się tu jeszcze znajdzie, odezwał się jeden z kompanji, bez interesu nie przyjechał, a gdzież co załatwić lepiej, jeżeli nie tu?!

— Oczywiście, jeżeli chodzi o palestrę, rzekł jegomość w złotych okularach, którego tytułowano doktorem.

— No nietylko, — odpowiedziano, — sztuka Hypocratesa ma tutaj również swoich przedstawicieli.

— Na to niech szanowny mecenas nie narzeka, odciął się doktor, bo na wszelki wypadek jest ratunek, a nie bagatela to dla tłuściochów.

— Dajciej panowie pokój... to nie szpital, żeby o chorobach mówić. Co to przyjemnego? Szkoda wielka, że Letkiewicz nam uciekł, byłby nas rozweselił, a oczywiście i butelkę postawił.

— Nie o to chodzi, potrafimy i sami.

Przyszłość Ernesta przedstawia się dla niej poprostu, jako jej własna.

Powtarza nieraz wyrazy »nasza przyszłość«, myśląc nieustanie o karjerze brata. »Pozwól mi błagać cię wciąż, abyś pamiętał o budowaniu sobie karjery, o przyszłości; nie szczędź dla tego żadnego poświęcenia«.

O sobie samej mówi Henryka bardzo mało. Kiedyniek edy uskarża się na ciężki swój zawód nauczycielki. Nie interesuje się, ani swem otoczeniem, ani Polską. Raz jeden tylko wspomina o stosunkach w Kongresówce.

»Chłop polski jest to istota najbiedniejsza, najnędzniejsza ze wszystkich, jakie można sobie wyobrazić; dwie trzecie ludności miejskiej stanowią żydzi, brudne i wstrętne stworzenia, prze chodzącego pojęcie. Nigdzie nie posuwają dalej jak tu, ducha fanatyzmu i nienawiści religijnej; nigdzie nie pokrywa się częściej namiętności ludzkiej imieniem boskiem: bić żyda to czynność, godna pochwały dla chrześcijanina; okraść chrześcijanina — to jedyny cel izraelity«.

Jednem słowem nie była Henryka ani jedyną w swoim rodzaju, ani nadzwyczajną. Cała jej zasługa polega na tem, że odegrała wobec brata rolę jednej z tych podpórek, które mu pozwoliły głosić, że nie zmieniłby niczego w swem życiu, gdyby je na nowo otrzymał, że pomimo swego sceptycyzmu, rozpocząłby chętnie jeszcze raz czarującą przechadzkę po przez rzeczywistość.

J...

Urywek z dziennika.

...Na pożegnanie Tonia, podając mi rękę, rzekła:

— Dobrej nocy. Życzę, niech się panu przyśni to, cobyś najgoręcej pragnął mieć na jawie.

I jednocześnie w oczach jej zamigotał ów figlarny, urągliwy uśmiech.

»Niech się przyśni — bo na jawie... bo na jawie«...

Nic mię tak nie draźni, jak to rozśmieszone spójrzenie.

Formalnie pozwala sobie żartować ze mnie.

Ściągnąłem brwi i patrząc na nią surowo i zupełnie chłodno (jestem tego pewny), rzekłem niedbale:

— Niestety, na jawie nigdy się nie ziści to, cobym mieć pragnął najgoręcej

Nagły rumieniec, jak zorza, przemknął po puszystych policzkach. Wyraźnie nadrabiając rezolutnością odcięła:

— Jakieś nadpowietrzne pragnienie? Może życzyłbyś pan, aby jaka czarodziejska wróżka zjawiła się po rozkazy?

Nie ufam jakoś czarodziejkom; wolę poczciwe ziemskie istoty, z któremi raz wiadomo jak i czego się trzymać.

Zacięła usteczka i zabierając ze stołu robotkę rzekła, nawpół twarz odwracając:

— Cóż to jest, jeśli wolno wiedzieć?

— Jeden z darów wróżki w każdym razie.

Fijołkowe oczy otwarły się szeroko szczerem, dziecinnem zaciekawieniem.

— Mnie się zdaje, że z nim jakoś niedobrze, rzekł jeden z gości.

— A cóż takiego?

— Doktor z księżyca spadasz? czy co? Wiadomo przecież, że Mendelblat procesuje Stacha i że może go urządzić..

— Zkąd mam o tem wiedzieć, ja spraw nie prowadzę, a z żydami tyle tylko mam do czynienia, że im od czasu do czasu oglądam języki. Czy naprawdę z Letkiewiczem tak źle?

— Casus pascudens... panie doktorze... może z folwarku wylecieć...

— Od czegoż wy jesteście? Nie możecie poratować przyjaciela...

— A ilu też szanowny konsyljarz poratowałeś suchotników, co?

— To inna rzecz, a suchoty inna.

— Djabli go nie wezmą, — odezwał się milczący dotąd jegomość w okularach, — to jest panie tego, kot; z trzeciego piętra go zrzucić, na pazury upadnie i nic mu się nie stanie... Chociaż trzeba przyznać, że się w ostatnich czasach trochę zaszłapał...

— Z jakiej przyczyny, dotychczas — bo stał nie źle...

— Co wy mówicie: nie źle stał. Ot, wiązał koniec z końcem... jedno urwał, aby drugie załatać — ale któż temu winien?

— Pan coś wiesz, panie mecenasie.

— Może i wiem, ale to nie racja, żebym wam powiedział.

— Ma chyba jakieś wydatki na boku...

— Bagatela! Nieśmiertelne »cherchez la femme«.

— Chłop przystojny...

— Ale i żonę ma piękną... Nieprawda, doktorze...

— Za piękna, stanowczo za piękna...

— Jak to rozumieć?

— Zdrowa panie, jak samo zdrowie... Gdyby takie były wszystkie, ładnie byśmy wyglądali...

— Zaintrygowaliście mnie... Nie, trudno w to uwierzyć...

— A jednak....

— Licho go wie zresztą. Patrzcie-no, idzie Aronek, ten wszystko wie; co było, co jest. co

— Pragnąłbym posiadać — ciągnąłem zwolna, trzymając w naprężeniu tę ogromną ciekawość — pragnąłbym posiadać dar zawsze i wszędzie czytania w myślach ludzkich..

Roześmiała się pustym, szczerym, głośnym śmiechem.

— Śmieszne żądanie! — zawołała. — I na cóż to panu?

A po chwili, wzruszając lekko ramionami, dodała:

— Cóż? Jako szczera przyjaciółka pana życzę z duszy, aby i to życzenie się spełniło.

Raz jeszcze podała mi rękę i zabrawszy robótkę, skierowała się do wyjścia. Odedrzwi jednak odwróciła głowę i przesłała mi spójrzenie szybkie, jasne, roześmiane — roześmiane tym swoim figlarnym, natrząsającym się uśmiechem. Zdało mi się nawet, że kąciki ust jej zadrgały, powstrzymywane jedynie wysiłkiem woli.

— »We śnie, wė śnie, mój panie — bo na jawie — względem mnie, — nic z tego!«

I znikła za drzwiami.

Rzuciłem się za nią. Rad byłbym ją dogonić, zatrzymać — rad byłbym porwać ją na ręce i unieść gdzieś na kraj świata, i te urągliwe usta, te rozśmieszone oczy pokryć takiemi szalonemi pocałunkami, iżby raz na zawsze pamiętała, że niewolno bezkarnie natrząsać się z ludzi.

Oczywiście nic z tego uczynić nie mogłem; gryzłem więc tylko wąsa, łowiąc uchem oddalające się za drzwiami lekkie kroki.

O, moja szczera przyjaciółko! jeśli szczerość twej przyjaźni zawiera się jedynie w ustawicznem kłuciu mię cierniami... Lecz bądźmy cierpliwi — i moja kolej nadejdzie, — o, nadejdzie! — a wtedy.. nie proś lepiej Pana Boga..

Wróciłem do domu rozdrażniony i zły, a chwilami wprost głupio, szalenie szczęśliwy. To dziewczę jest taką mieszaniną podniosłej kobiety i rozpieszczonego dziecka, że dalibóg, nie wiem czasem, co mam o niej trzymać.

Czy noc majowa była za duszna, czy słowiki pod oknem za głośno śpiewały — dość, żem długi czas zasnąć nie mógł. Jeden po drugim paliłem papierosy, próbowałem nawet, zdaje się, coś czytać, otwarłem okna — nic — zawsze ten brak tchu w piersiach, te sto pudów w rozpalonej głowie i myśli — bezładne, splątane, absurdów pełne. A poza tem wszystkiem oczy — te roześmiane, urągliwe, pachnące fijołkami oczy — te drogie moje...

Dniało już na dobre, gdy — zmęczony ostatecznie — zasnąłem wreszcie ciężkim kamiennym snem.

Musiałem spać za długo. Budzę się. Przez spuszczone rolety ścielą się na podłogę pasma już południowego słońca. Silę się zebrać myśli i wspomnienia, zdaje mi się, że powstaję z jakiejś czarnej bezwiednej nicości I nagle, jak piorunem uderza mię myśl, że o dwunastej punkt muszę być na posiedzeniu kolejowego zjazdu naszej drogi.

Rzucam się do zegarka — ba, dwunasta już blisko. Dzwonię w niebogłosy na Franciszka.

— Czemużeś nie raczył mnie zbudzić? — wpadam nań z góry, wszakżeś wiedział, że dziś o dwunastej koniecznie wyjść muszę?

— Przychodziłem parę razy — odzywa się nieśmiało. — Wszystko już gotowe, proszę pana.

Świeża w umywalni woda, sen pokrzepiający, jakby odradzający na nowo i to przez

---

będzie, ile kto ma groszy w kieszeni. Aronek! Chodź-no, co tu robisz, kogo szukasz?

— Ja rzekł kłaniając się żyd, patrzę czy tu niema starszego pana z Woli.

— Niema, a na cóż ci on potrzebny?

— On mnie? Ja myślę, że ja jemu mogę być prędzej potrzebny.

— Podobno ty wszystkich doskonale znasz, wiesz, ile kto ma, ile wydaje, co wart jego majątek? Czy to prawda?

— Dla czego niema być prawda? żebym ja tego nie wiedział, nie byłbym faktorem, ale krawcem, albo szewcem.

— Co myślisz o panu Letkiewiczu?

— Co ja mam o nim myśleć? W tej chwili nic nie myślę, bo inne pomyślenie mam. Mówiłem, że szukam starszego pana z Woli. On mi zawraca głowę trochę z rzepakiem i majątkiem, który ma ochotę sprzedać.

— Niech sprzedaje; owszem, będzie większy ruch, ale, Aronku, kręcisz, nie odpowiadasz na nasze zapytanie względem...

— Względem pana z Pisanki? Co tu dużo odpowiadać? To jest porządny pan, z nim można handlować.

— Tak, tak, wy lubicie handlować z bankrutami, to wiadoma rzecz.

— Kto panom powiedział, że on bankrut jest?

— Sprzedają mu przecież folwark...

— Ja o tem nie słyszałem...

— Ogłoszenia są...

— Ah, od Mendelblatta. Co to znaczy? To nic nie znaczy. Panom się zdaje, że Mendelblat jest wilk, że zaraz chce człowieka zjeść. Fe! to porządny kupiec.

— A jednak egzekwuje...

— Jemu się należy; on chce cokolwiek ugryźć, ale nie myśli zjeść odrazu. Z nim wszystko można. Chcesz pan tak; niech będzie tak; inaczej, niech będzie inaczej — aby żyć, aby handlować.

(C. d. n.).

otwarte okna wesołe majowe słońce robią swoje. Czuję się rzeźkim, wesołym, lekkim, jak rzadko. Zbiera mię wielka chętka pożartować z mego sługusa.

— Gdzieżeś siedział cały ranek? Pewno w pralni?

Naprzeciw, w oficynie, znajduje się pralnia i hoże dziewczęta wyglądają z niej co chwila. Franciszek odwraca twarz i śmieje się ukradkiem. Z marsem jednak odpowiada:

— Niech ich nie znać! Czy to jest czas człowiekowi na te, z przeproszeniem, głupstwa... Zanim to człowiek wszystko posprząta, pooczyszcza, chwilki swobodnej nie zostanie. Niech Trajkowska powie, czy chociaż nogą ruszyłem..

Skarżył się tak żałośnie, że aż spojrzałem na niego; i w tej chwili — cóż to? czy halucynacja? Lecz głuchym wszakże nie jestem. Słyszę, wyraźnie słyszę, jak ten skarżący się głos, głos Franciszka, ciągnie dalej, pomimo, że usta jego są zamknięte, że odwraca się nawet, oczyszczając z kurzu mój kapelusz.

»Ładniebym wyszedł, gdybym siedział tu, jak na uwięzi. Że komuś miło jest do południa się wysypiać, to człowiek musi siedzieć, jak przykuty i patrzeć nań, tracić cały ranek i czekać tylko, póki tamten oczy raczy otworzyć. Psem na to być trzeba, a nie człowiekiem«.

Zdziwiony, nie wierząc własnym uszom, wołam, aby mi krawat zapiął, bo coś w sprzączce zagrzęzło.

— Słucham jaśnie pana – odzywa się ze zwykłą służalczością, przybiega i zabiera się do mego krawata

— Ot zara . zara!... A, psia . Już, już... mruczy zakłopotany, że nie dość prędko mu idzie; a w tej chwili słyszę znów głos jego przyciszony, a dobitny, niby z wnętrza pochodzący.

»Oto proszę! Zdrów drągal, choć mury walić, a niańczyć się to każe, jak dzieciak. Niedołęga — niby jaki bez rozumu«...

— Porzuć! — wołam, wybuchając i szarpię mu z rąk krawat. Pójdź precz!

Skonfundowany, jak pies skarcony cofa się do progu i patrzy na mnie wylękły.

Wstyd mi za mój wybuch, odzywam się więc łagodniej, chcąc jednak pozbyć się go z oczu w jednej chwili:

— Powiedz Trajkowskiej, że idę już na śniadanie.

Trajkowska wyświeżona, uśmiechnięta, w białym czepeczku na białych włosach, czeka mię za stołem herbatnim.

— Dzień dobry panu Jakże się spało? Czy nie przeszkadzały muchy? Wczoraj wieczorem sama je wyłowiłam co do jednej, żeby paniusiowi nie przeszkadzały. Herbatki, czy kawy? Śmietanka wyśmienita; sama wszystko przyrządzałam, bo Franciszek do niczego.

Uczuwam prawdziwą przyjemność na widok tej twarzy wypogodzonej tych oczu tak poczciwie, prawie z przywiązaniem patrzących na mnie.

— A Trajkowska jakże się czuje? pytam, tknięty jej serdecznością.

Staruszka rozpogadza się bardziej jeszcze.

— Dziękuję, Bóg zapłać. Czemu nie mam być zdrową? Czy mnie tu czego braknie?

Po niejakimś czasie mówię znów do niej:

— Niech Trajkowska zbyt się gospodarką nie męczy. Trzeba się więcej wyręczać Franciszkiem. Mógłby i na targ chodzić i ze stołu sprzątnąć.

Trajkowska podnosi się z krzesła.

— O, przepraszam pana mego, ale już co to, to nie! Gdyby Franciszek robił zakupy, gdyby Franciszek sprzątał ze stołu, mielibyśmy się zpyszna, niema co..

Spójrzałem rozweselony jej zapobiegliwością; gdy w tem — znowu, znowu to samo! Z pochyloną głową, z zaciętemi wargami płukała zaciekle moję filiżankę, a z głębi jej, jak przed chwilą u Franciszka, jasno i dobitnie odzywał się, niby szept głośny:

»Paradnie! Wyręczać się Franciszkiem! Niech Franciszek zabiera koszykowe, niech wytarguje u kupców na swoją korzyść, niech zabiera sobie te szczypty herbaty, te kawałki cukru, to masło — a moja Klarcia może sobie duchem świętym żyć i powietrzem karmić swoje dziatki — a Walek niech sobie płaci, czem chce, za buty — choć hultaj — Bóg widzi, szczery hultaj — ależ to zawsze synaczek mój jedyniutki«..

Słuchałem zdumiony, a Trajkowska coraz niżej pochylała głowę, aż mrugać zaczęła zaczerwienionemi powiekami.

Niczego w życiu tak się nie boję, jak łez. Absolutnym tchórzem jestem wobec łez — mianowicie, gdy płacze taka stara, bielutka kobiecina. Zresztą — Boże święty! Mnież to liczyć te jakieś okruchy, któremi ta poczciwina żywi swoją córkę i wnuki!

— Róbcie sobie, moja Trajkowska, jak wam wygodniej — zawołałem, rzucając na stół serwetę. I nie wołając na Franciszka, wziąłem sam kapelusz i laskę i za chwilę z wielkiem westchnieniem ulgi znalazłem się poza drzwiami mego mieszkania.

Do Zarządu przybyłem w sam czas. I naczelnicy i główni inżynierowie i inni nieodzowni, właśnie byli się zeszli.

Obrady rozpoczęły się wkrótce; jak to jednak często u nas bywa, że się wiele nagadamy, zanim coś uczynimy, to i teraz kilkogodzinne debaty do żadnych poważnych postanowień nie doprowadziły. Było dużo biedowania o pewnych stratach w szczególności, a o złych interesach naszej drogi w ogólności.

Za to nowy nasz naczelnik ruchu tryumfująco podniósł cyfrę oszczędności, jakie za krótkich swych rządów zdołał zaprowadzić.

Przypominały mi się wtedy tragikomiczne opowiadania, które niedawno zdarzyło mi słyszeć: o zredukowaniu do połowy ilości szmat i obrzynków sukna, pobieranych do oczyszczenia wagonów o zmniejszeniu nafty przy oświetleniu dworców, przez co na pewnej stacji pasażerowie w półcieniu błąkali się po dworcu, nie rozróżniając nadpisów, myląc się co do drzwi. Przypomniały mi się wszystkie te prośby zawiadowców, pomocników, konduktorów, jakiemi w ostatnich czasach literalnie zasypany byłem, o nieobcinanie sum na mieszkanie, o nie wytrącanie za urlopy, o pozostawienie dawnych praw używalności ogrodów itp., itp. cały ten alarm, jaki wybuchł nagle z powodu oszczędności naczelnika, stosowanej do ludzi, którzy za swą mrówczą pracę ledwo jako tako przeżyć mogli

W dalszym ciągu zdziwiło mnie nie mało obstawanie naczelnika telegrafu za utrzymaniem na dawnej wysokości sum, pokrywających koszta nowej telegraficznej linji. Tak gorąco dowodził niemożebności zmniejszenia wydatków, że mimowoli zwrócił moją uwagę W tem chyba coś jest -— pomyślałem. Lecz cóżby mogło być? Któż nie zna jego prawych zasad, gorliwości w służbie, łaskawości dla podwładnych? Oburzyłem się sam na siebie za to krzywdzące i jego i mnie posądzenie i z prawdziwą przyjemnością wpatrzyłem się w tę postać starca pełną godności i wielkiej powagi, o rysach twarzy napiętnowanych dobrocią.

I w tym właśnie momencie, gdy żywiej odpowiadał oponentowi, dowodząc racjonalności swoich wywodów, dosłyszałem jakiś głos inny, wyraźny i przyciszony, dobywający się z jego piersi.

»Zmniejszyć wydatki? Nigdy, nigdy! Cóż stanie się z memi długami? Za co wykupię z banku mój majątek? Gotowiście jeszcze może wyznaczyć komisją w celu roztrząśnięcia dawnych dziejów? Nigdy póki ja żyję, nie dopuszczę do tego. Toż przyszłoby się chyba w ł b kulą«...

Słuchałem tak zdumiony, że na razie słowa znaleść nie mogłem Lecz gdy zarzuty przeciw umilkły i starzec uspokojony rozsiadł się wygodniej w swem krześle, porwałem się z miejsca i gotów już byłem wykrzyknąć na całą salę: Nieprawda! Ten człowiek mówi nieprawdę! Posłuchajcie tylko jego myśli, jego sumienia!

Na szczęście upamiętałem się w porę. Cóż bym wygrał? Któżby powierzył tym chimerycznym, jakby się wszystkim zdało, dowodom?

Zeznając całą nieużyteczność mojej interwencji, usiadłem znowu i tylko baczniej wszystkich obserwować zacząłem.

Zaiste, było co słyszeć. Poza obradującemi głosami ja, sam jeden tylko, słyszałem inne. Były to szepty ambicji lub chciwości, pożądania tak cyniczne, że się z niczem liczyć nawet nie starały, niecne targi kombinowane pracowicie na mieniu i niemal życiu najbiedniejszych i najcięższym trudem obarczonych pracowników. Słuchałem tego wszystkiego i zgroza przykuwała mnie do miejsca, czyniła bezwładnym, przejmując jednocześnie niewysłowioną goryczą i wstrętem. Chciwość i żądza karjery większej części z tych panów nie była dla mnie żadną nowością — ale widzieć i słyszeć bez żadnej osłony, tak przerażająco jasno, ich dusze, ich sumienia — Boże, cóż to za straszne katusze! Gdym po kilkugodzinnem posiedzeniu opuszczał salę, czułem się tak zmęczony, jakbym powstał z łoża boleści. Twarz moja musiała mię wydawać, bo ten i ów podchodzili, ściskając mi ręce, wypytując uprzejmie o zdrowie. Tak, czułem się chory — na was chory, moi zacni koledzy!

Schodziliśmy gromadnie ze schodów i w korytarzu już przeciął nam drogę biegnący do swego biura urzędnik. Znam tego młodzieńca nietyle osobiście, ile z nader sympatycznej opinii. Powitawszy go, skierowałem się za innymi do ubieralni; lecz gdym się obejrzał, z wielkiem zdziwieniem spostrzegłem naczelnika statystycznego wydziału na uprzejmej z nim pogawędce. Potrząsał mu ręce i tonem przyjacielskiej poufałości czynił mu wymówki, iż dotąd nie wybrał się go odwiedzić. Zdziwiło mię niemało, czego może chcieć ten wysoki urzędnik od człowieka o sto jakich stopni niżej od niego stojącego. Byłem tak podniecony i tak ze zwykłej koleji wyrzucony, że nie zdając sobie sprawy z tego co robię, zatrzymałem się i z boku śledzić ich zacząłem.

C. d. n.

W. Dalecka.

FRASZKI GRECKIE.

Wiktor Hugo powiedział: »Podli, czy cnotliwi —
»Ja nie mam nieprzyjaciół, gdy są nieszczęśliwi«.

*　*　*

Homer daje wspaniałość i serce człowiecze:
Ciała zabitych wrogów po obozie wlecze.
A no i myśli ludzkiej służy dobrą radą:
Włazi w konia i męztwo zastępuje zdradą.

*　*　*

Nieudolność, służalstwo, nepotyzm, karjera,
Zniechęcenie, egoizm, blaga et caetera...
Ach, na świat tego tyle, ile piasku w rzece!
A jednak umysł ostrzy od wieków — na Grece.

*　*　*

Hola! Panowie Grecy! Co mi dacie za to,
Gdy wam przedstawię mężów — tuzin dajmy na to,
Którzy mówią po grecku lepiej od Homera —
A głowy ich, a głowy — *obscura camera.*

M. Rodoć.

Nowy pogląd na socjologję.

Na zupełnie nowe tory sprowadza socjologję profesor uniwersytetu berlińskiego, G. Simmel.*)

Dr. Simmel jest jednym z najbardziej interesujących uczonych w młodszym świecie intelektualnym Niemiec. Wybitna indywidualność, jako człowiek i jako myśliciel, nic nie ma w sobie szablonu niemieckiego uczonego; z siebie, nie z systemów poprzedzających, wydobywa snopy świateł i rzuca je, w sposób zarówno efektowny, jak i rozjaśniający bardzo szeroki horyzont, na wszystko, co w wielostronnym pochodzie swoich zdolności poruszy. Umysł niezwykle wrażliwy, subtelny obserwator i djalektyk, jest przedewszystkiem talentem analitycznym, stara się odczuć, zrozumieć, rozłożyć na pierwiastki umiejętności, które traktuje; w socjologji zaś postawił oryginalną syntezę, nowy system.

Gdzie się zaczyna proces socjologiczny? — pyta Simmel (»das Problem der Soziologie«) i odpowiada: wszędzie, gdzie ma miejsce pewne zrzeszenie się, t. j. gdzie dwa indywidua (jednostki lub ciała zbiorowe) zaczynają wzajemnie oddziaływać na siebie. Cel i treść owego zrzeszenia się są dla socjologji zupełnie obojętne; zebranie dla gry w karty lub praktyki religijnej, skomunikowanie się dwóch jednostek dla pojedynku lub dla odbycia spaceru, ugrupowanie się znaczniejszej sumy jednostek jako towarzystwa handlowego lub naukowego, jako organizacji robotniczej lub wędrownej dzikiej hordy — jednem słowem: wszelkie zrzeszenie się indywiduów, bez względu na przyczynę i cele przedstawia dla nas dwie strony: formę w jakiej to zrzeszenie się odbywa i treść, dla której ono ma miejsce, proces, jaki w danej chwili zachodzi i materjał, który te ramy zapełnia. Otóż socjologja może być nauką tylko o formach procesów zrzeszania, czyli uspołeczniania się.

*) Z prac G. Simmla wymieniam: »Einleitung in die Moralwissenschaft«, 2 t., »Die Probleme der Geschichtsphilosophie«, »Ueber soziale Differenzirung«, »Das Problem der Soziologie«, w »Jahrbuch« Schmollera za r. 1894: »Zur Psychologie der Frau«. Poglądom jego filozoficznym poświęca studjum C. Bouglé w wyszłem niedawno u Alcana dziele »Les sciences sociales en Allemagne«.

Materjałem, treścią zajmują się inne poszczególne nauki, które można nazwać społecznemi, gdyż traktują zjawiska, odbywające się w społeczeństwie przez społeczeństwo. Więc zjawiska, odnoszące się do produkcji, podziału i konsumcji dóbr, będą należały do ekonomji; zjawiska, rozwoju konfiguracji indywiduów społecznych, od luzem idących jednostek do zróżniczkowanych grup współczesnej cywilizacji, będą należały do etnografji, etnologji i historji. Wszystko, co się odbywa w społeczeństwie, stanowi przedmiot wiedzy, lecz nie socjologji; do jej dziedziny należy tylko to, co jest socjologicznem, socjalizowaniem; co z jednostek, przez oddziaływanie na się robi społeczeństwo: formy zrzeszania się — sposób oddziaływania wzajemnego — abstrahowane od zajętych przez inne nauki treści i materjałów.

Formy socjalizowania się są mimo swej rozliczności i stopniowania się, mimo różnic przedmiotów, które obejmują, wszędzie typowemi. We wszystkich grupach, począwszy od efemerycznych, a kończąc na wiekowych aglomeracjach politycznych lub religijnych, można zauważyć takie procesy, jak podział pracy, partje, konkurencję, modę, podporządkowanie i preponderancję, symbole autorytetów, naśladownictwo etc. Formy te są jednakowe przy wszystkich najróżnorodniejszych elementach i akcjach, odbywających się w społeczeństwie, rozwijają się one niezależnie od treści i od jednostek i ich suma czyni zbiorowisko — społeczeństwem, ich przyczynowo działająca prawidłowość — oto prawa społeczne.

W ten sposób pojęta socjologja nic nie ma wspólnego z etnografją, historją i filozofją; czerpie z nich wszystkich materjały, ale nie jest zupełnie samodzielną; socjologja — podług Simmla rozkłada więc — jak wszystkie nauki — na pewną kategorję zjawisk, mianowicie te, które mają miejsce wśród zrzeszonych indywiduów, na ich elementy, abstrahuje od treści i celów zrzeszenia się i bada tylko to, co luźne jednostki zespoliło, tj. sposoby oddziaływania na się, formy socjalizowania się.

Analogję mamy w geometrji. Materjał którym ona operuje, ciało, wcale jej nie obchodzi, stanowi ono przedmiot badania dla technologa, anatoma etc. Do jej dziedziny należą tylko formy; same przez się nie istnieją one, mimo to suma ich stanowi to, co konkretnie zowiemy ciałem. To samo zadanie, zbadanie wszystkich możliwych form, sposobów i stopni stykania się i oddziaływania — wewnątrz społeczeństwa, powinna na się wziąć socjologja, jeżeli nie chce dłużej — jak mówi Letourneau — być li nazwą, nie rzeczą.

W. Feldman.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.